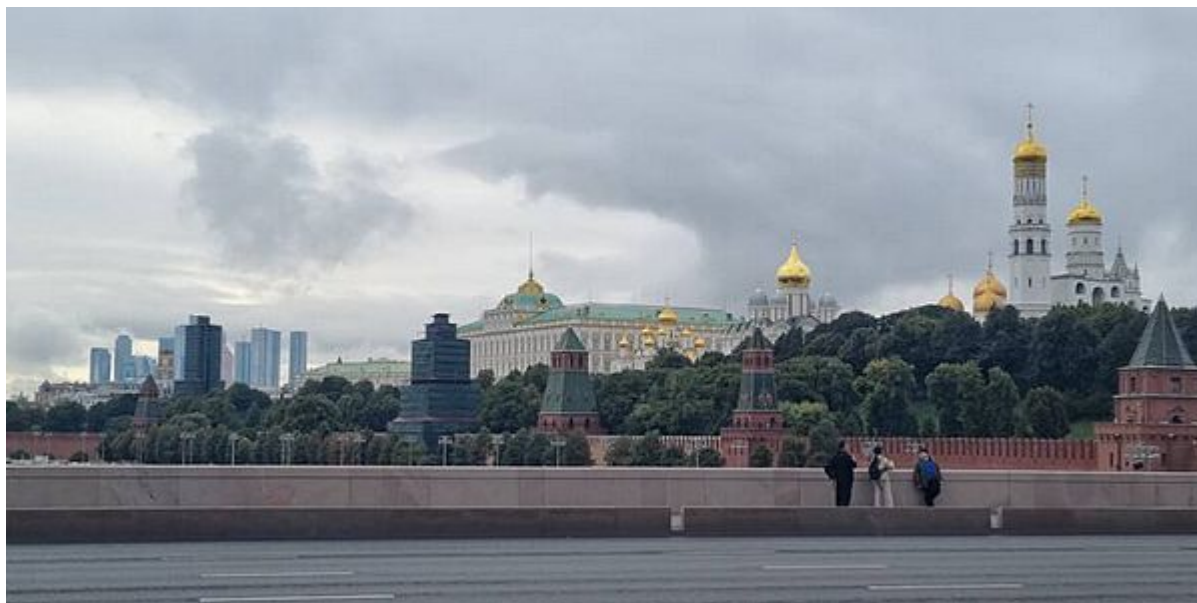


# 83 – 77

13 października 2022

Z dziennikarskiego punktu widzenia przyjechałem do Moskwy w dobrym momencie. Wtedy, w połowie września, rosyjskie wojska, i, co ważniejsze, rosyjska opinia publiczna zderzyli się z poważnymi porażkami swojej armii na Ukrainie.



To był już drugi policzek dla Rosji. Pierwszy, gdy po początkowym zachłyśnięciu się możliwością antyukraińskiego Blitzkiriegu, przyszedł moment zwątpienia. Okazało się bowiem, że Ukraina nie czeka na rosyjskich żołnierzy z kwiatami, chlebem i solą na co, jak się wydaje, Rosjanie bardzo liczyli. Przeciwnie, Ukraińcy stawili silny opór. Natarcie wojsk Federacji Rosyjskiej zatrzymało się. Po czym we wrześniu armia ukraińska ruszyła do kontrnatarcia, a Rosjanie zaczęli oddawać jedną miejscowość po drugiej. Ludzie tego nie zrozumieli. Zaczęły się sarkania i poszukiwania wyjaśnień. Pytanie, kto jest temu wszystkiemu winien jest obecnie jednym z ważniejszych dla przyszłości Rosji.

Fakt jest faktem: wojna została rozpoczęta i wycofać się z niej teraz Rosja już nie jest w stanie. Źle mówię, jest w stanie, tylko to oznacza jej koniec w dotychczasowym kształcie ustrojowym, a może i terytorialnym.

Po przyjeździe do Moskwy nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że znajduję się w jakimś świecie równoległym. Tam gdzieś toczy się wojna, giną ludzie, komunikaty z frontu informują o wycofywaniu się wojsk na „z góry upatrzone pozycje”, a tutaj ludzie żyją jak zawsze: na pełnych obrotach, jakby zawzięcie. Tutaj wojny nie widać. Może też dlatego, że to miasto nie chce jej zobaczyć?



Gdy w związku z wojną i napiętą sytuacją na froncie kolejne rosyjskie miasta odwoływały swoje obchody powstania (a zbiegło się tych rocznic kilka w ciągu paru dni), akurat Moskwa swoje 875 lecie obchodziła hucznie. I kosztownie. Zrealizowano około 200 wydarzeń kulturalnych i rozrywkowych. Były koncerty orkiestr dętych i symfonicznych, wystawy i parady bębniarzy, zawody sportowe, parada ponad 40 statków z flotylli pasażerskiej na rzece Moskwie. No i obowiązkowo pokaz fajerwerków, który swym rozmachem zapierał dech. Radość i uroczysta atmosfera. Bawiono się dwa dni. A kilkaset kilometrów dalej na wschód ginęli ludzie...

Wielu moich znajomych pytało wtedy: ile milionów rubli na to wydano? I co za to można byłoby kupić dla żołnierzy, którym taka pomoc była bardzo potrzebna. Odpowiedzi nie dostawali.

W zwykłych rosyjskich domach, w biurach, urzędach wyższych i

niższych, słowem wszędzie, gdzie zdarzyło mi się być obecnym przy rozmowach różnych ludzi, porażki na froncie prędkiej czy później stawały się głównym tematem rozmów. Już wcześniej nie rozumieli, czemu zatrzymał się front, czemu Ukraińcy nie witają ich kwiatami, czemu muszą grzęznąć w wojnie coraz bardziej krwawej i bezwzględnej. A teraz jeszcze kolejne oddawane miasta, zostawianie ludzi, którzy współpracowali z rosyjskimi władzami, wycofywanie się przypominające niekiedy bardziej ucieczkę. Szukali wytłumaczenia tej sytuacji, a przede wszystkim szukali winnych. Jeszcze po cichu. Do momentu, gdy 21 września Władimir Putin ogłosił częściową mobilizację.

Dość precyzyjnie określił, kogo będzie ona dotyczyć. Najogólniej rzecz biorąc, Rosja sięgnęła po rezerwistów, ludzi mających wojskowe przygotowanie, z określonymi wojskowymi specjalnościami. Ich liczbę określono na 300 tysięcy.

W najbliższych dniach po ogłoszeniu mobilizacji wydarzyło się kilka rzeczy naraz. Pierwsza to fala uciekinierów. Zablokowane zostały porty lotnicze i przejścia graniczne. Na tych ostatnich tworzyły się wielokilometrowe kolejki samochodów, wypełnionych ludźmi, których mobilizacja mogła dotyczyć. Granicę z Kazachstanem przekroczyło w ciągu pierwszych kilku dni 100 tysięcy ludzi, jak oficjalnie poinformowały władze tego kraju. Bilety lotnicze do Turcji, Gruzji, Armenii, Kazachstanu zostały wykupione w ciągu kilku godzin, a na następne dni osiągały niebotyczne ceny. Najdroższy bilet do Stambułu, jaki widziałem w rosyjskich wyszukiwarkach to 500 tysięcy rubli (około 41 tysięcy złotych). „Dużą część kont z VKontakte (rosyjski Facebook) moich znajomych zniknęła – mówi mi znajoma studentka – Boją się, że ich komisje mobilizacyjne namierzą, gdzie wyjeżdżają”.

Druga rzecz to burdel podczas przeprowadzania samej mobilizacji. Komisje mobilizacyjne wysyłały wezwania ludziom nieżyjącym, ojcom – jedynym żywicielom wielodzietnych rodzin, cukrzykom, chorym psychicznie, niepełnosprawnym, kobietom w

cięży. Inne z kolei nie zwracały uwagi na ograniczenia mobilizacyjne, tylko brały wszystkich jak leci, przeprowadzając w istocie powszechną mobilizację. W Chabarowsku na przykład, połowie zmobilizowanych kazano wracać do domów już z jednostek, do których dojechali, bo nie mieli prawa znaleźć się w koszarach. W oficjalnych mediach pełno było informacji o idiotycznych decyzjach, nieprzygotowanych ludziach i strukturach. Jakaś rosyjska stacja telewizyjna pokazywała z lubością mordziatego przewodniczącego komisji mobilizacyjnej z rosyjskiej prowincji, który tubalnym głosem i bez śladu refleksji na twarzy oznajmiał, że u nich biorą wszystkich jak leci, bo „mobilizacja musi być zrealizowana w pełnej skali”. Został zwolniony następnego dnia, ale ilu takich jest jeszcze po całej Rosji?

Wszystko to świadczy dowodnie nie tylko o tym, że listy mobilizacyjne w całej Rosji nie były aktualizowane od lat, co by nie dziwiło, gdyby sytuacja międzynarodowa od lat była spokojna. Ale o tym, że będzie wojna, mówiło się od co najmniej 6 lat. I nikt nic w Rosji nic z tym nie zrobił. Jest to też świadectwo, że w punktach mobilizacyjnych siedzą kompletnie nieprzygotowani ludzie: dożywający swojej emeryturki oficerowie różnych rodzajów wojsk, wysiadujący synekurę krewni i znajomi wysoko postawionych oficerów i przypadkowi cywile. Kiedy przyszła godzina próby, skompromitowali siebie, rosyjską armię i państwo.

Jeden z generałów pytany w telewizji o przyczyny tego stanu rzecz powiedział z rozbrajającą szczerością: „W Rosji wszystko musi przejść przez burdel”. I to pewnie prawda, tylko jednostkami, w których będzie się liczyć błędne decyzje i ich skutki w tej akurat sprawie, będą ludzkie trupy.

Zmobilizowanie i wysłanie na front ludzi przypadkowych, bez przygotowania wojskowego (a takich było bardzo wielu) to recepta na duży problem.

„W strefie działań bojowych znajdują się ludzie nie mający ani

doświadczenia, ani motywacji, ani nawet przygotowania fizycznego. Ich efektywność bojowa będzie bardzo niska, a szansa na ranienie lub śmierć – wysoka. To może być przyczyną napięć społecznych (...) Da to paliwo siłom, które są zainteresowane rozkołysaniem nastrojów społecznych. Myślicie, że jak Nawalny siedzi, to już problem z głowy?", napisał popularny i cieszący się dużym szacunkiem rosyjski korespondent wojenny Jewgienij Poddubny.

„Nie rozwścieczajcie ludzi z bronią” mówiła czołowa rosyjska propagandystka, szefowa RT Margarita Simonian w programie Rossija 1.

Oboje mają rację.

Tego samego dnia, gdy Putin ogłosił mobilizację, pojechałem pod pomnik Puszkina. Tam zawsze zaczynają się antyrządowe demonstracje, oczekiwałem że i teraz nie będzie inaczej. Już w metrze stali policjanci w pełnym rynsztunku do tłumienia protestów. Ale to tylko w metrze. Na powierzchni policji było dość dużo, ale ubranych w zwykłe mundury, tylko wyposażonych dodatkowo w pojemniki z gazem, kamizelki kuloodporne. Wokół pomnika gromadzili się młodzi i bardzo młodzi ludzie. Ale nawet jeśli mieli zamiar w jakikolwiek sposób wyrazić swój sprzeciw, to nie było im to dane. Podchodzili do nich natychmiast policjanci, zaglądali do plecaków, legitymowali i stanowczo prosili o pójście do domu. Nie wszyscy słuchali. Obok mnie dwóch młodzieńców wyjęło z plecaków kartki formatu A4 z napisem „Dość zabijania”. Wzięli je w dłonie i stanęli przed pomnikiem. Ich akcja trwała nie więcej niż 10 sekund. Kartki wyrwano, a ich samych odprowadzili do czekających obok samochodów. Policjanci nawet nie działali brutalnie. Nie musieli. Przewaga sił nad tymi 15 letnimi na oko ludźmi była miażdżąca. Potem to samo powtórzyło się jeszcze kilka razy. Żadnego protestu nie było, bo być nie mogło. Ale najważniejszy był inny obrazek. Obok młodych ludzi, z kartkami, lub prowadzonych przez policję, płynęła moskiewska ulica: śmiejąca się, krzycząca, trzymająca za ręce, całująca,

rozmawiająca... I doskonale obojętna.



Potem się dowiedziałem, że akurat tego dnia centrum protestów przeciwko mobilizacji było na ulicy Arbat. Tam demonstrujących było kilkuset, ale i oni nie demonstrowali długo. Protesty były też w innych miastach. W całej Rosji zatrzymano tego dnia 1251 osób. W ciągu następnych dni demonstracje próbowano powtórzyć, lecz zostały stłumione szybko i tym razem brutalnie. Większych wystąpień nie było. Jedynymi sygnałami niezgody były jakieś pojedyncze gesty jak ta mała karteczka nalepiona na słupie w centrum Moskwy, obok restauracji Sage, z napisem „Nie idź do komendy uzupełnień, zostań przy życiu”. I to w zasadzie wszystko.



Potem, tego samego dnia, na placu Tagańskim, podczas oczekiwania na zielone światło na przejściu, stojący obok mnie mężczyzna w średnim wieku mówi do kogoś przez telefon: „Nie, nigdzie nie pójde przeciwko swoim. Przecież ja jestem stamtąd”.

Od początku konfliktu do Rosji przyjechało ponad 2 miliony Ukraińców, a przedtem żyło około 4 milionów. Znaczna część z nich dostała rosyjskie obywatelstwo.

Wcielany do armii państwo rosyjskie szczerze sypnęło pieniędzmi. Zmobilizowani będą służyć na takich samych warunkach jak żołnierze zawodowi. Miesięcznie otrzymają nie mniej niż 195 tysięcy rubli (około 16 tysięcy złotych). Do tego dochodzą wypłaty, które dokładają często władze samorządowe. Razem to daje mniej więcej 250 tysięcy rubli. Żołnierze są wysoko ubezpieczeni, mają gwarancje powrotu na dotychczasowe miejsce pracy z takim samym wynagrodzeniem. Po powrocie otrzymują status weterana, co wiąże się z kolejnymi ulgami: obniżką czynszu o 50 proc. pierwszeństwo przy wstąpieniu na dowolną uczelnię wyższą, zwolnienie z podatków za nieruchomości. Po przejściu na emeryturę mają zagwarantowaną obsługę medyczną poza kolejką. Na czas służby otrzymują wakacje kredytowe. Ciężko ranni otrzymają 3 milionów rubli, za śmierć rodzina otrzyma 7 milionów rubli (500 tysięcy złotych), nie licząc wypłat z ubezpieczenia.

Dla mieszkańców Buriacji, dalekich regionów Rosji, Syberii to są sumy niewyobrażalne. Ochotników więc nie brakuje.

I nie, nie chcę powiedzieć, że Rosja kupuje sobie żołnierzy. Ona ich po prostu skutecznie dodatkowo motywuje. Że to nie tylko transakcja handlowa widać było na punktach mobilizacyjnych w Moskwie, na kilka dni przed moim odjazdem. Kiedy kolejne miejscowości armia rosyjska oddawała stronie ukraińskiej, to właśnie wtedy odnotowano znacznie zwiększoną liczbę ochotników. Uznali, że Rosja jest zagrożona, więc przyszli.

Ale pytania o to, czemu Rosja przegrywa, wciąż wiszą w powietrzu. Odpowiedź wydaje się nieprosta.

Rosja pomyliła się co do Ukraińców. Ktoś uznał na podstawie jakichś wyciągniętych z tyłka danych, że prorosyjskie nastroje są tam tak silne, że wystarczy tylko lekko ten kraj popchnąć i sam się zawali. Ktoś nie docenił i nie zauważył, że 30 ostatnich lat z różną intensywnością budowano tam oddzielną, ukraińską świadomość narodową. W ostatnim okresie zdecydowanie antyrosyjską zresztą. Majdan w 2014 roku był tylko tego ostatnim akordem. Secesja Donbasu i Ługańszczyzny była już tylko reakcją rosyjskojęzycznych mieszkańców na zagrożenie ze strony coraz bardziej nacjonalistycznie nastawionego Kijowa. I kiedy rosyjskie wojska weszły na teren Ukrainy, spotkali się nie tylko z dobrze wyszkolonymi według natowskich standardów żołnierzami. Wojska ukraińskie, niezależnie od ideologii nimi kierującej, broniły swojego kraju, domów i rodzin. Od rosyjskiej strony taką samą motywację prezentowały jedynie jednostki z Donieckiej Republiki Ludowej i Ługańskiej Republiki Ludowej. Oni też za plecami mieli swoje domy i bliskich. Rosjanie byli wyszkoleni, ale co nieśli na swoich sztandarach?

„Nie wiemy, co mamy zaproponować ludziom na wyzwanych terytoriach. Chcemy nieść czerwone sztandary ZSRR? Naprawdę? Kraj, w którym skorumpowana oligarchia rozkrada ten kraj na oczach wszystkich, chce, by mu uwierzono, że niesie ideę sprawiedliwości społecznej?” – mówi Giennadij, dziennikarz poważnej rosyjskiej agencji prasowej. „Może więc proponujemy im ideę wejścia w skład imperialnej Rosji? To jest pomysł, pod warunkiem, że naród na wchłanianych terytoriach albo tego chce, albo widzi korzyści z aneksji. Tu ten przypadek nie zachodzi. Jesteśmy w tym sensie bezradni. I to widać”.

To naprawdę fundamentalne pytanie, bo nie dotyczy tylko samej wojny na Ukrainie. Odpowiedź określi być albo nie być Rosji samej. Ale ona nie jest gotowa na jej poszukiwanie.

Na konferencji MOST, która miała odpowiedzieć na pytanie o media na terytorium euroazjatyckim, które ma być odpowiedzią Rosji na wypychanie jej z Europy, jeden z paneli dokładnie o to pytał: „ZSRR czy imperialna Rosja. Co mamy do zaproponowania światu?” Wiele sobie obiecywałem po tej dyskusji. I oto rozsiadło się trzech facetów, którzy wymieniali się słabiutkimi żarcikami, starannie omijając temat. Niczym się nie skończyło, poza wspomnianymi facecjami.



Kilka dni później organizacja Związek Rosyjski zorganizowała spotkanie też na ten temat. Tutaj sprawę potraktowano poważnie, a dyskutanci naprawdę chcieli znaleźć odpowiedź. Od części propozycji robiło się zimno: Rosja jawiła tam jako kraj nie to, że konserwatywny, ale wręcz reakcyjny, w którym ortodoksyjne zasady prawosławia regulowałyby życie ludzi, w szkołach i na uczelniach młodzi ludzie nie mieliby prawa używać elektronicznych gadżetów, które są rozsądkiem zła, nauka przebiegałaby według ściśle regulowanych zasad, dyscyplina w szkołach byłaby żelazna, a wzmacniałaby ją autorytet nauczyciela. Część zebranych jednak przytomnie zauważała, że wrogość wobec komputerów i telefonów komórkowych przypomina reakcję tkaczy lyońskich na nieuchronny przecież postęp i wzywała do poszukiwań innych rozwiązań opartych jednak na idei narodowej. Nacjonalistycznej, dokładnie rzecz biorąc. Nie lekceważyłbym tego.

Inni mówili o konieczności tworzenia sprawiedliwego państwa socjalnego, wypowiadali przeciwko oligarchom, „zdradzieckim liberalnym elitom” i „sabotażystom”.

Państwo rosyjskie w ciągu ostatnich tygodni zrobiło wiele, by pokazać swoim obywatelom, że nie jest dla nich wiarygodnym partnerem. I na dodatek zrobiło to wtedy, gdy już ludzie zaczęli się przyzwyczajać, że jest inaczej. Przez lata wdrażano kolejne prospołeczne rozwiązania, demonstrowano dbałość o najmniej zarabiających, wydawano kolejne akty prawne, które ułatwiały życie przedsiębiorcom, tworzone windy społeczne i rozwiązania, które po prostu ułatwiały życie. I nie szkodzi, że było to rozłożone nierównomiernie, ale działało. Rosjanie poszli na ten układ, przypominający Polskę czasów gierkowskich: my, państwo, tworzymy swoją politykę i strukturę, zapewniamy wam dobrobyt, a wy, drodzy obywatele zajmujcie się sami sobą i nie przeszkadzajcie naszym funkcjonariuszom. Korzystajcie z życia. No to korzystali.

Kiedy zaczęła się wojna, obywatele wciąż realizowali tę umowę. Państwo zajmuje się wojną, a my sobie żyjemy. Stąd może moje wrażenie, że w Rosji funkcjonują światy równoległe. Dopiero kiedy zaczęły się pierwsze porażki, dotychczasowy porządek zaczął się walić. Obywatele najpierw zaczęli pytać o przyczyny tej sytuacji, a potem, gdy państwo zażądało od nich pomocy, zażądali partnerskiej pozycji.

Najpierw zaczęły się wspomniane wyżej problemy z mobilizacją. W telewizji pełno było programów, jak drogie jest wyposażenie zmobilizowanych żołnierzy. Wyliczano, co rodzina musi żołnierzowi kupić. W zasadzie wszystko. Dziennikarze wydziwiali, że porządne wyekwipowanie powołanego kosztuje 200 tysięcy rubli i pomstowano, że producenci ekwipunku zawyżają ceny. Nikt nie stawiał w tych programach pytania, czemu rodzina ma kupować żołnierzowi rzeczy, od których zależy jego życie na froncie. To wszystko powinno na niego czekać w magazynach wojskowych. Dziennikarze tego pytania nie stawiali, podczas gdy zwykli ludzie a i owszem.

Dwaj przyjaciele mojej znajomej zgłosili się na ochotnika na front. Na jej kanale jest odręcznie napisana lista rzeczy, które proszą, by im kupić. Lista liczy 30 pozycji i jest tam wszystko, co potrzebne żołnierzowi. Wszystko. To oznacza, że raczej nie liczą, że te niezbędne do życia na froncie rzeczy dostaną od państwa. Jakiś obłąd.

Propaganda rosyjska najpierw tworzyła obraz zbrodniczej formacji pułku Azow, wspierany publicznymi obietnicami najwyższych polityków, że pojmami jego członkowie nie będą podlegali wymianie jeńców, bo muszą być osądzeni i ukarani za swe czyny, które obficie dokumentowano. Po czym wymieniano ich. Rosyjskie sieci społecznościowe wybuchały.

Kilka dni temu dziennikarze poinformowali, że fabryka produkująca karabiny snajperskie, zaprzestała produkcji, bo... przeprowadzono w niej kontrolę skarbową. Wprawdzie po karczemnej awanturze właśnie w sieciach, kontrolę wycofano, ale pytania pozostały: kto wydał w czasie wojny decyzje o kontroli, kto ja zaakceptował, kto się na nią zgodził itd.?

Oficerowie i żołnierze na froncie zaś pytali o podstawy podejmowanych decyzji, które doprowadzały do wystawienia na uderzenia nieosłoniętych jednostek, błędne decyzje skutkujące stratami w ludziach.

Media informowały nie tylko o dramatycznie nieudolnej mobilizacji, ale też o tym, że rezerwistom wydano zardzewiałą broń. Kto za to odpowie? – pytają.

Dziennikarz agencji RIA Siegodnia nie ma wątpliwości: „Ci ludzie w końcu z tego frontu wrócą. Rozliczą tych wszystkich, od których decyzji zależało ich życie, którym tak często niedbale szafowano. I zaczną pytać: w imię czego przelewaliśmy krew, w imię czego zostali tam nasi przyjaciele? Jeśli nie dostaną satysfakcjonującej odpowiedzi, to sami ją sobie wezmą. To są nowe elity, które wymienią te, które dzisiaj nie udźwignęły ciężaru odpowiedzialności. Nieważne czy to była

głupota czy zdrada. Ci ludzie zostaną usunięci.

Pijemy. Ostro. Na stół wjeżdżają kolejne butelki i dania. Są przy stole ludzie, którzy wrócili z pierwszej linii, są byli oficerowie, politycy. Wódka sprzyja wylewności. Podchmieleni wyrzucają z siebie wszystkie żale i pretensje do państwa rosyjskiego, które ich rozczarowało. O trudnej sytuacji na froncie, o głupich rozkazach z samej góry, o braku koordynacji, niewypełnianych poleceniach, o wycofywaniu się przypominającym ucieczkę. O wciąż jeszcze silnych, bezkarnych i stojących ponad prawem oligarchach.

„Co robić?” – rzuca jeden z nich w przestrzeń.

Siedzący za stołem polityk poważnego szczebla uśmiecha się szeroko: „To dzisiaj bardzo niebezpieczne pytanie”.

Rosja dzisiaj jest na swoim zakręcie. Zaczęła tę wojnę Rosja imperialistyczna, ale skończy ją inna Rosja. Jeszcze chyba sama nie wie, jaka, choć trochę już wiadomo.

Społeczeństwo zażąda zmiany dotychczasowej umowy. Będzie chciało partnerskiej pozycji, albo nawet pozycji dominującej. Chcę, by państwo pełniło rolę służebną. Pada sformułowanie „społeczeństwa obywatelskiego” (np. w dokumentach programowych wspomnianego Związku Rosyjskiego). Wiele wskazuje na to, że nie obędzie się bez mocnego oporu elit, które już poczuły smak bycia tymi lepszymi w stosunku do zwykłych ludzi. Jeżdżenia lepszymi samochodami, mieszkania w apartamentach lub willach, jadań w wykwinnych restauracjach. Dość powiedzieć, że wydatki najbogatszych oligarchów na luksusowe jachty od 2015 roku były wyższe niż sumy, które państwo wydało w tym samym czasie na budowę nowych okrętów dla marynarki wojennej. Mają czego bronić. Naprzeciw nich staną ludzie, których część wróci z frontu, gdzie świat widziany jest w prostych czarno-białych barwach.

Kiedy pytam moich rozmówców czy Rosja powtarza swą sytuację z lutego 1917 roku, wielu potakuje.

I nie, to nie będzie ten scenariusz, który jest mokrym snem całego Zachodu: przez Rosję przetacza się bunt, ludowy gniew zmiata wszystkie władze łącznie, a nawet przede wszystkim, z Putinem, a na jego miejsce przychodzi ktoś, kto będzie przypominał Borysa Jelcyna: całkowicie zaprzedanego Amerykanom alkoholika, podpisującego wszystko, co mu się podsunie, a co zabezpiecza interesy wielkich koncernów kosztem interesów rosyjskiego państwa, traktowanego zresztą jako surowiec do zużycia. Tak już było w latach 1990-2000 i naprawdę tygodnie dzieliły Rosję od całkowitego rozpadu, a jej mieszkańców od cofnięcia się cywilizacyjnego o epokę.

Wszystkim, karmiącym się nadzieją, że tak się stanie polecam lekturę wyników badania opinii publicznej prowadzonej przez Centrum im. Lewady, w Rosji oznaczonego jako „agent zagraniczny”, co na Zachodzie daje przepustkę na wiarygodność. Od początku ataku na Ukrainę poparcie dla Putina wahało się w granicach 80-83 proc. Po wrześniowych porażkach spadło – o 3 proc., do 77. Można rozdzierać koszule na piersi, że to ogłupione społeczeństwo, że „zdegenerowany naród”... Nic nie pomoże. Po prostu tak jest.

Sergiej Karaganow, jeden z ważniejszych analityków i uczonych rosyjskich napisał w swym wywiadzie dla portalu antyfaszysta.ru: „Dla nas to sprawa przetrwania narodu, dla Zachodu sprawa przetrwania ich elit”. I Rosjanie to rozumieją, albo tylko wyczuwają. Karganow jest zdania, że rosyjskie elity „prozachodnie i kompradorskie” zostaną „wypłukane” a na ich miejsce przyjdą elity propaństwowe. Ten proces może przybrać różnych charakter, gwałtownego nie wykluczając.

Czas się żegnać z Moskwą i Rosją. Idę na pożegnalny spacer do centrum. Na rogu Prospektu Teatralnego i placu Teatralnego mijam cukiernię pod nazwą „Strana, kotoroj net” – „Kraj, którego nie ma”.

Autorstwo tekstu i zdjęć: Maciej Wiśniowski

Źródło: [Strajk.eu](http://Strajk.eu)